NUMER 51. DNIA 20-go GRUDNIA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

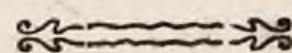
DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

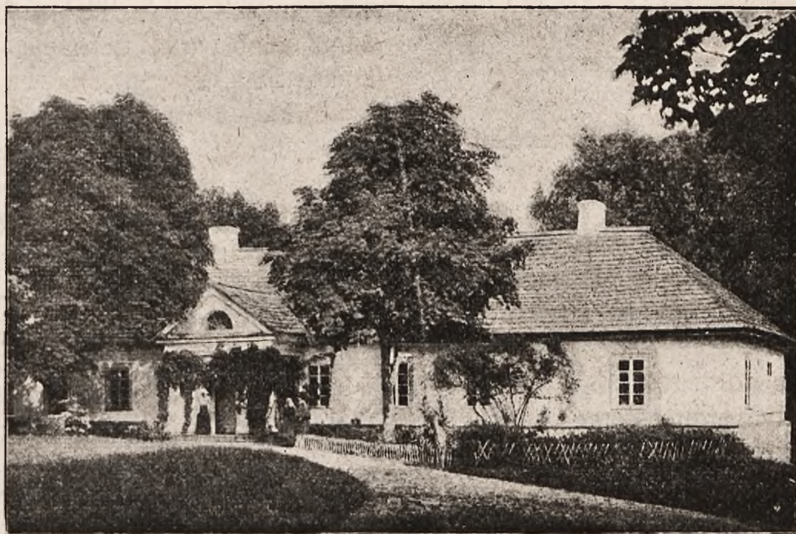
W. DALECKA.

TUHANOWICZE.



Pośród szeroko rozfalowanej powierzchni niewysokich wzgórzy urozmaiconych tu i ówdzie rzuconemi kępkami lasków i gajów, wzrok podróżnego z dalekiej jeszcze przestrzeni zatrzymuje się na zwartej masie imponującej grupy liściastych olbrzymów. Pod blask zachodu ciemna ich zieloność przyjmuje głęboki aksamitny ton, i jakaś dziwna cisza a królewskość bije od tych ciemnych gąszczy,

To Tuhanowicze.



Dworek w Tuhanowiczach.

zieloności, niewielkiej w obszarze, olbrzymiej we wzroście. Gdy raz się ukaże, króluje nad całą okolicą. Wszystko inne w obec niej nagle maleje, blednie, mizernieje; otaczające wzgórza, laski, wioski, dwory stają się tylko akcesorjami tła, służącymi dla dobitniejszego wypuklenia tej imponującej grupy liściastych olbrzymów.

Z północnej strony oddzielone od reszty świata moczarzystą przestrzenią, długo drodze kołować każą, więżąc na sobie oczy i myśl podróżnego, nastrajając go niejako na pewien ton wzruszenia, jakie widok wielkich pamiątek zwykle wywołuje.

Przebywa się wreszcie długą jakąś, błotnistą, rozpacznie szarą i nędzną wieś bez sadów i zieleni, droga ostro skręca w bok, wjeżdża się na dworskie grunta i po niedługich już chwilach dwór Tuhanowicki gościnne przed przybyszem otwiera wrota.

Na tle wiekowych olbrzymów i bujnych krzewów, sam dom mieszkalny wygląda bardzo skromnie, jest niewielki i cały niemal w gąszczu skryty. Białość ścian i wdzięczna jakaś proporcja w wymiarach, mile go przedstawia. Przez ganek oszklony wchodzi się do obszernego przedpokoju, skąd drzwi na oścież otwarte zapraszają do sali jadalnej. Przestronna, wygodna, z oknami na ogród, przez które z za gąszczu zieleni niezbyt jaskrawe dostaje się światło. Na ścianie duże malowidło starego pędzla, przedstawiające scenę w lesie i grę Wojskiego; na lewo kominek, na nim wśród pęków kwiatów i zieloności biust Mickiewicza. Dziwne wrażenie wywiera ta sala; patrząc na to malowidło, ten biust i kominek, wreszcie na ten stół jadalny w środku rozciągnięty, nie można się oprzeć dotykalnemu niemal wspomnieniu, że oto tu, w tej sali przed blisko 80-ciu laty sam młody poeta przechadzał się, uśmiechał, ściskał dłonie przyjaciołom, oczekiwał na przyjście Maryli. W tej cichej dziś sali ile wówczas musiało być gwarów wesołych a żywych, jak tu filareckie echa zdają się jeszcze o szyby uderzać, od ścian wypływać.

Na prawo z sieni znajduje się niewielki salonik, właściwie pokój bawialny. Jest to niby małe muzeum, pełne drobnych a wiele mówiących pamiątek. Na stole przed kanapką, wśród książek i albumów, książeczka w skromnej oprawie ze staroświeckim drukiem na staroświeckiej wpółszarej bibule. Odwracam kartę. Konrad Wallenrod — gotycko, u dołu rok 1834, a jeszcze niżej nieco już zżółkłym atramentem: „J. W. Pani Marszałkowej Wereszczakowej w dowód czci i pamięci, Adam Mickiewicz.“ — pismo drobne, kształtne, niemal kobiece.

W rogu pokoju znajduje się mały stoliczek zarzucony mnóstwem drobnych sprzęcików. Trzy ćwierci wieku bije od nich odległą przeszłością. Uwagę zwraca głównie malutkie oszklone pudełko, z drobnemi pamiątkami odesłanemi Maryli z Paryża przez Mickiewicza. Jest tam nader misternej roboty maleńka lira z ciemnego drzewa i drobna minjatura Maryli.

Ściany tego pokoju ozdobione są licznemi obrazami i portretami, Amor i Psyche, oryginał Greuze'a przykuwa tak oczy, że odwrócić je trudno. Wśród portretów szlachetnym, a wytwornym pędzlem uderza portret jednego z Tuhanowskich, krewnego Maryli, pędzla p. E. Pawłowicza, rzecz wartościowa. Z bawialni przechodzi się do biblioteki, gdzie także wdzięczna pamięć przeszłości umiała się wykazać. Wśród książek i pism rozrzuconych na stole na pierwszym planie spostrzegamy Tomasza à Kempis, ulubioną niegdyś książkę Mickiewicza.

Z sieni na lewo znajduje się „pokój Maryli“. Zostało tu nieco sprzętów z jej czasów, co na pierwszy rzut oka czyni tę komnatkę różną od wszystkich innych, dzisiejszych. Okna, jak zresztą i dziś zwykle okna panieńskiego pokoju na wsi, wychodzą na ogród, a posiadają ten szczegół, że widny z nich wśród zieloności cały róg „murowanki“, a mianowicie ta część „murowanki“, w której znajdywał się pokój i okna pokoju Mickiewicza. Mimowoli nasuwa się przypuszczenie o ukradkowych spojrzeniach z jednej strony, a gorących, tłumionych westchnieniach z drugiej, które na tej linji przecinały się zapewne niejednokrotnie, przelatując po nad atłasy trawniku i rzeźbę bujnych krzewów. Pokój Maryli zdobią umieszczone u ścian niżej i wyżej, łamaną linją, statuetki królów polskich. Stare to przyżółkłe, niezbyt wykwintnej roboty; tworzą jednak i dziś nader wdzięczną, a niepospolitą w wiejskich dworach ozdobę. Od sufitu zwiesza się pająk z czarnego śpiżu bardzo starej i niezmiernie misternej roboty; przyświecał niegdyś dziewiczym marzeniom Maryli.

Za czasów pani Wereszczakowej w domu mieszkała tylko ona sama z córką wraz z całem otoczeniem kobiecem; mężczyźni, syn i jego przyjaciele zamieszkiwali tak zwaną „Murowankę“.

Murowanka zajmuje miejsce po drugiej stronie gazonu, stoi nieco bokiem ku domowi zwrócona, a opiera się o gąszcz drzew, które ją dzielą od dalszych zabudowań dworskich. Jest to budynek dość duży i wcale ładny, na wysokim podmurowaniu z dużą galerją o grubej kracie drewnianej. Obszerna sień dzieli budynek na dwie połowy. Na prawo właśnie znajduje się pokój Mickiewicza. Duża to izba bielona, o oknach, w grubym murze, jak w niszy, tkwiących. Poeta

miał stąd widok na ogród, na dwór, a wprost, jak wspomniałam, na okna pokoju Maryli.

Wielka prostota cechuje ten niewykwintny przybytek. Dwory litewskie mało podlegają zmianom czasu; można przypuszczać, że i za czasów Mickiewicza była tu ta sama skromna prostota; słońce, zieloność i szczebiot ptactwa, przez okna wpadające do pokoju, musiały być jego sielską i najświetniejszą ozdobą. Dziś białe ściany Mickiewiczowskiego pokoju pokryte są siatką napisów poważnych lub żywych i gorących, bardziej i mniej udatnych, którymi goście i zwiedzający hołd swój tym miejscom zaznaczają.

Największą jednak Tuhanowicz ozdobą i, rzec można, najściślejszą w pamiątkowem znaczeniu ich treścią, jest park. Zajmuje dużą przestrzeń i jest bardzo starannie utrzymany. Kilka wzgórzy i malownicza dolina służą mu za teren. Tu wchodzić z odsłoniętą głową! Świątynia to przeszłości; z każdego gąszczu, z każdego zakrętu drogi, z każdej perspektywy alei wieje tchnienie przeszłości, tłumy wspomnień wynurzają się zewsząd, szemrzą w szepcie liści, rozsypują się nad głową w igrającym cieniu.

Więc naprzód, o kilkanaście kroków od pokoju Maryli altana — szczęścia jego kolebka i grób. Olbrzymie, zda się niebotyczne drzewa wzrostem szarych ciemnych pni otaczają szczupłą przestrzeń; namiot liściasty wysoko gdzieś rozwieszony u góry. Te drzewa stały tu i wówczas. Chwile upojenia, ostry ból, a potem długie posępne tęsknoty tu się zrodziły, dla tego olbrzyma uczuć. Gdzieindziej tworzyły się jego ołtarze i jego Golgoty uczuć patrjotycznych — lecz tu najdotkliwsze, najistotniejsze, jeśli można tak rzec, zrodziło się i wybuchło uczucie. „Ach, jedna jest iskra w człowieku, i raz tylko w młodzieńczym zapala się wieku".

Więc altana sprawia wrażenie, jakby się weszło w świątynię czyjegoś ducha, a pamięta się, że ten duch to duch wieszcza.

Od altany rozchodzą się dwie drogi ku dwom przeciwległym wzgórzom. Na prawem, gaj gęsty porasta, a w środku stoi stara, odwieczna kaplica z grobowcami rodziny Wereszczaków i Tuhanowskich. W obszernem podziemiu stoją trumny w wierzchniej części kaplica, ołtarz i nisze. Mrok tu prawie zupełny, ledwo można odczytać napisy; chłód, grobowość, echa stąpań po kamiennej posadzce, zapach zgnilizny, grozą przejmują. W zewnętrznej ścianie wstawione w mur znajdują się nagrobkowe tablice.

Droga na lewo prowadzi też w piękny gaj, nie tak wszakże posępny i smutny. Wietrzyk tu przemyka, wieje długiemi warkoczami brzóz, szumi w koronie dębów, chwieje aksamitną trawką. Mówią, że tu było ulubione miejsce Maryli i tu zwykła była uciekać, kiedy się dowiedziała o przybyciu Putkamera.

U stóp wzgórzy wśród przecinających się aleji, klombów, krzewów i drzew pojedynczych, znajduje się bardzo cienista aleja. Jest to, jak utrzymuje się pamięć, owa aleja — ulubiona Maryli i Mickiewicza. Stoi tu parę ławek; w środku jedna, zupełnie prosta, dość gruba, i już niska, znać do połowy w ziemię weszła, pleśnią zieloną pokryta. To ich ławka.

„Pamiętam, wśród jesieni, przy wieczornym chłodzie,
Jutro miałem wyjechać, błądzę po ogrodzie...
Spojrzę na dół, na szpaler... patrz, tam przy altanie
Ujrzałem ją niespodzianie.
Jutro, rzekłem, jutro jadę!...
Bądź zdrów i w długiej ulicy,
Niknie na kształt błyskawicy"...

Nie sposób oprzeć się wrażeniom. Jaka tu przeszłość żywa... Jak mówi — jak mówi! Ta dawność lat, ten cały wiek już ubiegły i te żywe jeszcze świadki owych dni, owych chwil... jak to sprawia, że czasu niema i czas jest, bo mijał, i że chodzi się jak we śnie, i że śni się na jawie i tylko chce się powtarzać bez końca: czy ja śnię... czy ja naprawdę śnię...

Wspaniałą, iście artystyczną ozdobą Tuhanowskiego parku jest murowana we włoskim stylu oranżerja, dzieło, jako pomysł i plan, p. Ed. Pawłowicza. Trzeba mieć wysokie poczucie piękna i artyzmu, aby tak piękną rzecz właśnie w takiem miejscu postawić. Budowa niewielka, lekka, o wielkich na całą ścianę oknach łukowych białością od olbrzymiej ściany zieleni pysznie odbija, a estetyką i czystością linji pieści oko.

Po drugiej stronie parku znajduje się jeszcze jedno wzgórze najznaczniejsze pod względem pamiątek i najbogatsze w nie. Na skraju wzgórza rośnie brzoza, sadzona ręką Mickiewicza. Jest to raczej jakieś widmo brzozy. Pień straszliwie wykrzywiony, spróchniały na wylot, jedynie tylko starannemu pielęgnowaniu i licznym podpórkom zawdzięcza swoje istnienie; cały płaszcz wszakże

jeszcze zielony i bujny, chociaż z bardzo drobnego liścia utkany. Widok stąd na okolicę rozległy i ładny; zrozumieć łatwo dlaczego w tem właśnie miejscu młody poeta brzózkę swego szczęścia zasadził. Na Litwie utrzymuje się zwyczaj sadzenia drzew „na szczęście"; może i ta brzoza takie przeznaczenie miała. I jej również piorun rdzeń serca wypalił.

Powyżej brzozy wierzchołek wzgórza przedstawia dziwny jakiś zabytek, płotkiem w czworobok obwiedziony. Jest to prosty stół zrujnowanego niegdyś ołtarza i inne szczątki kościelne. Przykrym jest ten szkielet umarłych świętości, wzbudza uczucia grozy i smutku. Jest też żywym okazem ohydy naszych stosunków politycznych. W krótce po 63 roku grasował na Litwie osławiony Siemaszko, niegdyś biskup unicki, później pop prawosławny i zażarty gnębiciel unji i katolicyzmu. Oprócz mnóstwa okrucieństw i gwałtów, kasatę wielu kościołów jemu przypisać należy. Od dłuższego czasu nie dawała mu spokoju katolicka kaplica w Tuhanowicach. Nabożeństwo zawsze się tam odprawiało, na które okoliczne wioski tłumnie przybywały. Lecz po własność prywatną trudno było sięgnąć. Należało „wziąć się na sposób". W pewną burzliwą noc, wśród bicia piorunów i rzęsistej ulewy zapukał do drzwi Tuhanowskiego dworu przeziębły podróżny. Gościnność litewska w takiej chwili nawet przed wrogiem drzwi nie zamykała. Biskupowi odstępcy dano nocleg. Nazajutrz rano zanim jeszcze dwór się zbudził, Siemaszko stał już w kaplicy i w asystencji przywiezionego z sobą na ten cel djakona, mszę odprawiał. Według świeżo wydanego „ukazu" świątynia, w której chociaż raz odbyła się msza prawosławna, przez to samo staje się prawosławną. Dokonał więc swego: kaplica Tuhanowskiego dworu przeszła w ręce moskiewskie. Lecz wszakże i pan Tuhanowski nie chciał tego znieść pokornie. Nie życząc słuchać u siebie śpiewów popich i cerkiewnych dzwonów, uczynił, co jedno tylko mógł uczynić — kaplicę przeniósł do wsi. Na wzgórzu pozostał tylko kamień węgielny ołtarza jako pamiątka przeszłości i jako świadectwo naszych krzywd dla przyszłych wieków.

Do tegoż samego wzgórza przywiązana jest pewna legenda z dawnych czasów. Kiedyś, zanim Tuhanowicze były w ręku Tuhanowskich, należały jakoby do starożytnej rodziny Firlejów. Zamek czy dwór stał gdzieś dalej, tu zaś była tylko tak, jak i za późniejszych czasów, kaplica. Ostatnia z rodu Firlejów, pani wielkich włości, była wdową, a miała młodą córkę zdumiewającej piękności. Wielu znacznych rycerzy i panów ubiegało się o jej rękę, matka wszakże nikogo, godnego swej córki znaleść nie mogła. Z obawy, aby nie użyto przemocy, trzymała córkę w zamknięciu, nie dozwalając wychylić się na krok z domu. Wolno jej tylko było bardzo wczesnym rankiem chodzić na mszę do kaplicy, a i tu, w niedalekiem tem przejściu otaczała ją straż z dwunastu rycerzy i tyluż pieszych złożona. Jednak pomimo tej straży, znalazł się śmiałek, który porwał pannę, lub też któremu dała się porwać. Był to jakoby ubogi jakiś młodzieniec oddawna przez nią kochany.

Dziwnie ta legenda odbija od wypadków późniejszych czasów. Prawdopodobnie mało była znana, a może umyślnie nie powtarzana za czasów Maryli. Wydaje się niemożebnem, aby Mickiewicz nigdy o niej nie wspomniał.

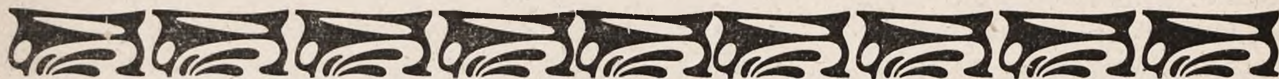
O dwie lub trzy wiostry od Tuhanowskiego dworu znajduje się pamiętny kamień Filaretów, umówione miejsce ich schadzek. Miejscowość jak rzadko malownicza, rzecby można romantyczna. Las gęsty, raczej pierwszy brzeg lasu, wąwóz fantastyczny, dalej piętrzące się wzgórza nieprzeniknioną zda się gęstwiną porosłe, inne wąwozy jak odnogi w rozmaitych rozbiegające się kierunkach, ginące w mroczu leśnem, pełne tajemniczości. Wszelakie drzew gatunki mieszają się tu z sobą, tworząc odcienia barw i form niezrównane, a wśród nich liczne krzewy berberysu, niżej i wyżej, rozwieszają swoje rubinowe girlandy. Głaz pamiątkowy wspaniałych rozmiarów leży, jak w gnieździe, w krągłem wgłębieniu. Zajmuje wszakże małą część wgłębienia i wygląda jakby stanowił ułomek tylko większej znacznie całości, odcięty zaś jest tak równo jakby nie ręka przyrody, ale przemysł ludzki w to się wmięszał.

Jakoż istotnie był kiedyś większym, lecz przed trzydziestu laty w czasach największych u nas gwałtów i bezprawi, łupano ten granit pamiątkowy i dostarczano do budowy stacji kolei w Baranowiczach; zaledwo po energicznych zabiegach p. Tuhanowskiego udało się go uratować od ostatecznej zagłady.

Tu, w tem malowniczem ustroniu, dopiero się rozumie cały urok owych młodzieńczych schadzek. Tak jak w Wilnie wybrali Filareci najpiękniejszą okolicę dla swych zebrań tak i tu,

na wsi, niewątpliwie najwdzięczniejszy zakątek Nowogródzkiej ziemi służył im za teren zaciskającym się węzłom przyjaźni i wzlotom młodego ducha. I jest to znamienne, że w owej dobie narodzin najświetniejszej naszej poezji, ta młodzież gorąca szukała się i jednoczyła nie w dymie knajp, nie w mętnych ścianach publicznych kawiarń, lecz pod odsłoniętym namiotem nieba, w obec przepychu najpiękniejszej natury. Jak tu naówczas w wąwozie tym musiało być gwarno i śpiewno, a młodzieńczo, ogniście, a górno — i jak przeczyście! Jak granit była tam wola ich serc, ponad szczyty drzew lotniejszy, wznioślejszy ogień ich ducha. To też do gwiazd, do słońc sięgali — a my dziś...? Między ich czasem i naszym przeciągnęła mgła, jak tuman mroczny, wilgotny, pełen niezdrowych dreszczów i opuszczeń ramion, pochyleń się głowy, i gorzkich uczuć i gryzących dum...

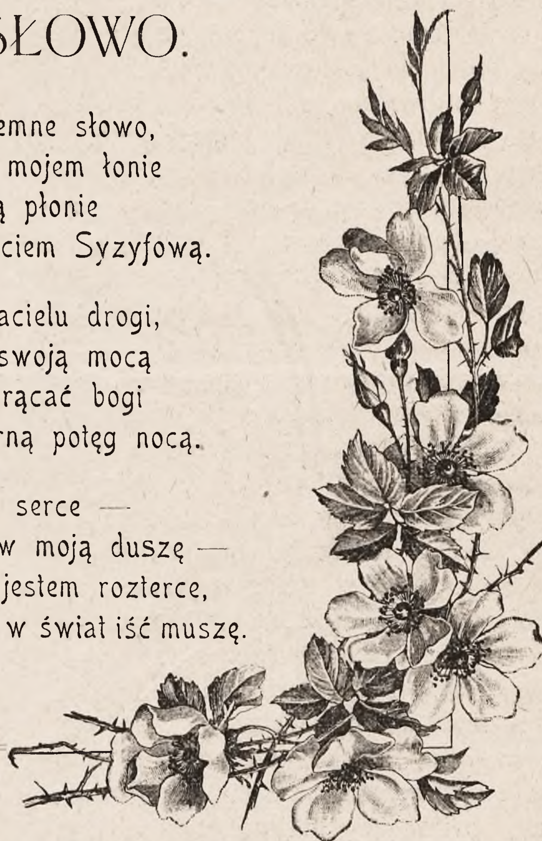
Lecz któż powie czy z po za tej mgły nie wyjdzie znów słońce, promieniste i w chwale...?



FELIKS GWIŻDŻ.

TAJEMNE SŁOWO.





Chciałem Ci wyrzec to tajemne słowo,
Które, jak święty ogień, w mojem łonie
Wielkim płomieniem i potęgą płonie
I pcha mię w walkę z życiem Syzyfową.

Chciałem Ci wyrzec, przyjacielu drogi,
To słowo, które wnętrzną swoją mocą
Z tronów mi każe stare strącać bogi
I wiecznie walczyć z czarną potęg nocą.

Lecz oto jakiś lęk ogarnął serce —
Dziwna dwoistość weszła w moją duszę —
W strasznej ze sobą dziś jestem rozterce,
Czuję, że z Słowem tem sam w świat iść muszę.

Nie pytaj — czemu?...

TRZY OPŁATKI.

wspomnienie spisane według opowiadania.

I.



W jednej z wielkich stolic zachodniej Europy grudniowy dzień miał się ku końcowi, skośne, krwawe promienie zachodzącego słońca tworzyły fantastyczne mroki na gzymsach, freskach, arkadach gmachów, których budowa wskazywała, że były one dziećmi X i XI wieku; oczy widza z zadumą spoczywają na nich, myśl jego biegnie w te zamierzchłe wieki, żałując, że nie każdy naród tak czci swe pamiątki; tu odnawiając, z pietyzmem zachowano każdą rzeźbę, każdy choćby najmniejszy kamyczek, gdy gdzieindziej... po barbarzyńsku niszczą najcenniejsze zabytki sztuki. A oko znawcy ma się czem rozkoszować, ta harmonja barw, łuków, rzeźb na frontonach gmachów, ten ratusz z mnóstwem wież, wieżyczek,

fresk, zlewających się w estetyczną całość, jakby utkany z koronki, przez którą przesiewają się fantastycznie złote promienie zachodzącego słońca.

Obok wielkiego pietyzmu dla zabytków starożytnych, cześć głęboka dla bohaterów; — plac wielki, na nim wspaniały pomnik, schodzimy kilka schodów w dół pod arkady, dzięki uprzejmości wieczystego dozorcy, który tego świętego dla narodu miejsca pilnuje, zwiedzamy katakumby, w których spi snem wiecznym dwustu-kilkudziesięciu bohaterów-obrońców ojczyzny!

Lecz nie jest to miasto, któreby czcząc swą przeszłość wraz z nią zamarło, zakamieniało; o nie! — tuż obok wre życie wartkim potokiem; na szerokich bulwarach po obu stronach, wysadzanych drzewami, krzyżuje się tysiące przechodniów, środkiem z błyskawiczną szybkością mijają się tramwaje konne (wtedy elektrycznych jeszcze nie znano), wozy ładowne, dorożki, powozy i arystokratyczne karety. Mrok powolnie zapada. Wszyscy spieszą, biegną, jakby się lękali, że z chwilą obecną ucieknie coś, czego już nigdy nie uchwycą. Śpieszą więc z załatwieniem prac codziennych, bo jutro wielkie święto, spoczynek ogólny, — jutro dzień Bożego Narodzenia!

Dolna część bulwarów pogrążona już w cieniu, promienie słońca oświecają jeszcze fasady domów zdobnych artystyczną rzeźbą, robiącą wrażenie brabanckiej koronki, chwila jeszcze, gmachy pogrążają się w cieniu, ostatnie blaski słońca oświecają dachy wspaniałych gotyckich tumów, nad którymi w niebo strzelają dumnie koronkowe wieżyce. Słońce zalśniło raz jeszcze w złotych ich krzyżach i zasunęło się za horyzont.

Mgła gęsta, wilgotna, właściwa wielkim zbiorowiskom ludzkim, posiadającym wiele fabryk, spada na miasto, tamując przechodniom w piersiach oddech, przynosząc z sobą ów gorzko-słony zapach, zwiastujący bliskość morza. Szeregi latarń zabłysły na bulwarach, setki wystaw sklepowych zajaśniało również, ale przez mgłę tak latarnie, jak wystawy przybierają formę punktów lśniących, od których rozchodzą się barwne tęczowe promienie.

Ruch jednak z każdą chwilą się wzmaga, bo chociaż w tym kraju wigilja Bożego Narodzenia nie jest świętem rodzinnem, jak u nas, to każdy chce załatwić spiesznie sprawy, gdyż dwa dni przerwy w handlu wiele znaczy dla tych, którzy obracają miljonami.

Lecz porzućmy ten wir, ruch i wrzawę i udajmy się na jedno z przedmieść; cicho tu, spokojnie, na chodnikach niema tłumów, czasem powóz przemknie, widocznie po gorączkowej pracy dnia mieszkańcy tego miasta, mający swe siedziby w oddalonych jego częściach, szukają tam wypoczynku, aby nabrać sił do nowej walki z życiem. Ulice tu szerokie, w dzień pełno światła i powietrza, czystość nieskazitelna; teraz w mroku nocy dostrzegamy szeregi domów, nie mających w sobie nic ze stylu koszarowego, który tak przygnębiające wprost robi wrażenie w wielu miastach Europy, tu przeciwnie złączono piękne z pożytecznem i o ile domy i mieszkania wewnątrz są urządzone z wszelkiemi wygodami, o tyle dla oka sprawiają estetyczne wrażenie.

Na jednej z takich ulic spostrzegamy przez mgłę cztery okna, jak cztery punkciki świetlane, na drugiem piętrze, to cel naszej podróży. Dzwonimy w sposób nam znany, (do każdego piętra inaczej się dzwoni) mieszkańcy drugiego piętra otwierają. Wchodzimy, dźwięk mowy rodzinnej rozbrzmiewa w około, wszystkie twarze uśmiechają się, wszystkie dłonie wyciągają się ku nam z przyjacielskim uściskiem, wszyscy się tu znają.

Gospodyni domu osoba starsza, niezrównanej zacności, gorąca Polka, wdowa po dowódcy z 1863 r., który odbywszy kampanję w 1831 r., mając lat przeszło 50, na odgłos trąbki bojowej rzucił żonę i dzieci, by służyć Ojczyźnie, — syn gospodyni domu, wychowany na obczyźnie, dwie jej siostry, matka, staruszka 80 letnia, wdowa po kapitanie wojsk polskich z 1831 r. — to domownicy. Zebrani to towarzysze broni z 1831 r. i 1863 r.

Po pierwszych słowach powitania rozmowa popłynęła wartkim potokiem, pytaniom, odpowiedziom nie było końca, a tematem ukochana Ojczyzna. Odczytywano ustępy z dzienników polskich, z listów od familji, słowem to, co mogło tych tułaczy choć na chwilę przenieść myślą do Ukochanej.

Tymczasem w sąsiednim pokoju pospiesznie kończono przygotowania do wigilijnej wieczerzy, przez drzwi otwarte widać było stół długi, białym rąbkiem kryty, na nim skromna zastawa do tej bratniej uczty.

Wśród najgorętszej rozprawy, pomiędzy zebranymi stanęła pani domu, trzymając opłatek w ręku, ze słowy:

— A teraz drodzy państwo pozwólcie, przełamiemy się nadesłanym nam „opłatkiem z kraju"...

Na te słowa wszyscy umilkli, anioł ciszy przeleciał wśród zebranych, — „opłatek z kraju"... te dwa słowa do głębi wstrząsnęły wszystkich, myśl ich lotem ptaka poleciała na północny-wschód, zdawało się, że z tą drobiną opłatka z pszenicy polskiej, zaleciał ich szmer łanów rodzinnych, falujących złocistymi kłosy, balsamiczny powiew łąk malowanych kwiatami, nad którymi unosi się w niebo szary skowronek, nucąc swą pieśń dziękczynną, uszu ich doszedł rozhowor borów pełen modłów, żalu i skargi! Okiem ducha każdy z nich ujrzał skromny, biały dworek, a w nim swych ukochanych, zgromadzonych, jak dziś, na ucztę wigilijną...

Surowa i poważna postać ojca, stroskana ze łzą w oku matka, poważne twarzyczki rodzeństwa, w milczeniu dzielą się opłatkiem, nikt nie śmie słowa przemówić, wszyscy czują, że te chmury czarne, pełne gromów, wiszące nad ukochaną Polską, lada chwila rozpęta szalona burza, że to może ich ostatnia wspólna uczta...

. . . .

Dziś, po latach, jedni odpoczywają w mogiłach, szczęśliwi, jeśli ich ojczysta ziemia otuliła, inni daleko w krajach wiecznej zimy i lodu, a oni tu skazani na życie tułacze, na wieczną tęsknotę za skrawkiem ojczystego nieba, za powiewem niw ojczystych...

Gdy drużyna nasza opanowała wzruszenie, w milczeniu, ze łzą w oku przełamano opłatek z kraju, a braterski uścisk dłoni starczył za wszelkie życzenia.

Skromna wigilijna uczta przeciągnęła się długo. Barwne opowiadania płynęły jedne za drugiemi, nieraz błysnęły skry prawdziwego humoru, celował w tem, w swych dobrych chwilach, autor „Ojca Hilarego", szczególniej gdy nam opowiadał urywki z życia cyganerji warszawskiej, której sam był duszą. Nie brakło i szczegółów z działań Rządu Narodowego, kreślonych przez jednego z członków tegoż Rządu (Stanisław Frankowski), opowiadania jego zabarwione były zwykle lekką dozą ironji, były tam i epizody z czynności jednego z członków organizacji, której przedstawiciela mieliśmy w owem gronie; to życie pracy głuchej, podziemnej, walki z niewidzialnym wrogiem, tułaczki z obozu do obozu, z dworu do dworu, te chwile spoczynku z ręką na papierach, pieczęciach, rozkazach Rządu Narodowego, aby w danej chwili, na znak niebezpieczeństwa ukryć je, zakopać, choćby w wazonie z kwiatami, a w ostateczności spalić!

Długo w noc tak gwarzono, i biedni wygnańcy zapomnieli na chwilę o swem tułactwie. Tylko wiązanka białych róż ogrodowych i stokroci znajdująca się na stole, a przywieziona przez jedną z rodaczek przybyłych z prowincji, przypomniała zebranym, że są w kraju, w którym zima jest prawie nieznaną!

(Dok. nast.) *J. Z. A.*

Kwestjonarjusz dla badania kultury ludowej.

Przed paru dniami wyszła z druku obszerna praca K. Mokłowskiego: „Sztuka ludowa w Polsce". Zanim zaznajomimy szanownych czytelników z treścią cennego dzieła, śpieszymy zwrócić uwagę na ułożony przez autora kwestjonarjusz dla badania kultury ludowej.

Aby umożliwić — pisze autor — rozmaitym ludziom dobrej woli, mieszkańcom wsi i miasteczek badanie skuteczne przy wolnym czasie zabytków kultury ludowej, podaję poniżej dokładny kwestjonarjusz obejmujący szereg najważniejszych zagadnień.

Zwłaszcza w obecnych czasach, kiedy aparat fotograficzny staje się nowem i niezmiernie ważnem narzędziem dla współczesnego inteligentnego człowieka, należy rozumnie fotografować wszystko, co się odnosi do kultury ludowej, a społeczeństwu odda się bezwątpienia ogromne usługi. Nie zależy mi szczególnie na tem, aby zebrany materjał wysyłano wyłącznie na ręce podpisanego. Może bowiem z niego korzystać tak „Wisła" czasopismo ludoznawcze w Warszawie, jako też i „Lud", miesięcznik etnograficzny lwowski. Jeszcze lepiejby było, gdyby się znaleźli autorowie, którzyby samodzielnie próbowali opracowywać monografje poszczególnych okolic.

Chodzi jedynie o to, aby praca w zbieraniu tak ważnych dla pierwocia naszej kultury rzeczy nie ginęła marnie, ale zostawała naukowo zużytkowana.

Oto motyw poniższego kwestjonarjusza. —

Chata i budynki gospodarcze.

1. Jak położoną jest chata badanej miejscowości; *a)* od stron świata, *b)* do ulicy (węższą czy szerszą stroną).

2. Jakiego typu jest zagroda i czy wogóle jest?
3. Jaki płot lub parkan?
4. Jaki typ bramki lub wrót?
5. Z czego chata jest zrobioną, z drzewa i z jakiego? z plecionki? z gliny? Jaka jest konstrukcja drzewa, czy na słup? czy na zamek? Jakiego rodzaju wiązanie jest na węgłach? Czy drzewo łączone jest kołkami drewnianemi czy gwoździami we więzbie dachowej, i we drzwiach?
6. Jaki rozkład chaty? gdzie sień, gdzie komory i świetlice?
7. Gdzie ognisko? czy jest komin? czy może chata jest kurna?
8. Jaki dach, dranica, gonty, strzecha ze słomy, trzciny czy dachówki lub kora?
9. Jaka zdobniczość strzechy i gontów, jak są układane i wycinane (czy słoma kłosami na dół czy pniem)?
10. Jakie zdobnictwo lub znaki są umieszczone na czołach dachu (pazdury, konie, sparogi, ptaki, rośliny etc.)?
11. Jak wygląda szczyt dachowy? i jaka dachu spadzistość i rozłożystość?
12. Jakie są okna dachowe?
13. Jakie okna w chacie? jakiego rozmiaru? wiele szyb? w co są oprawione?
14. Czy jest chata bielona czy malowana?
15. Czy jest ganek przed wejściem? i jakiego rodzaju? Podać zdobienie ewentualne.
16. Jakie drzwi, jak połączono słup z poziomą belką? Czy są okrągłe drzwi? Jak są połączone w takim razie belki? Jaka jest zawora i kłódki przy drzwiach? Jakie dźwirza, czy z desek, czy z deszczółek wzorzyście układanych?
17. Czy sień ma powałę?
18. Czy izba jest bielona lub świeci surowem drzewem?

(Dok. nast.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Stanisław Eliasz Radzikowski.* Skarby zaklęte w Tatrach. Kraków 1903. 8-ka mała; str. 33 i 1 nlb. drukowane w 50 egzemplarzach jako rękopis.

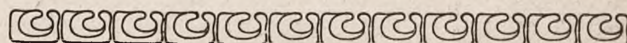
Jak wiadomo, górale tatrzańscy wierzą święcie w istnienie olbrzymich skarbów, ukrytych przed ludzkiem okiem w jaskiniach górskich, strzeżonych pilnie przez duchy. Skarbów tych poszukiwało wielu od bardzo dawnych czasów i wówczas już powstały t. zw. „przewodniki“, wskazujące drogę i sposób odkrycia bogactw. „Przewodników“ takich wydano drukiem dotąd kilka, wydał jeden z nich nawet podpisany, z rękopisu bibljoteki jagiellońskiej w warszawskiej „Wiśle“ za rok 1901. Omawiana praca Dra Eljasza Radzikowskiego, któremu udało się dostać parę tego rodzaju rękopiśmiennych „spisków“, zajmuje się przedewszystkiem wyśledzeniem najstarszych wiadomości, jakie zachowały się o „przewodnikach“ do skarbów tatrzańskich.

Najdawniejszem świadectwem jest pochodzące z roku 1246 zeznanie Piotra Wydżgi, zapisane przez Długosza w „Liber beneficiorum“. Nie chodzi tu o autentyczność owego zeznania. Zapiska jednak Długosza świadczy najwymowniej, że w wieku XV. istniały przewodniki do skarbów ukrytych, zupełnie podobne do spisów dziś używanych przez poszukiwaczy skarbów w Tatrach. Można się o tem przekonać z zacytowanych urywków takiego spisu w wieku XV, XVI i XVII, każących w ten sam mniej więcej sposób szukać skarbów nad Morskiem Okiem, Czarnym Stawem, Pięciu Stawami i t. d. W dalszym ciągu opisuje Dr. Radzikowski przewodniki czyli „spiski“ z wieku XVIII, grubo od dawniejszych dokładniejsze i mocno zabarwione wieściami ludowemi w istoty fantastyczne, oraz niemieckie przewodniki, pochodzące ze Spiża, i omawia dokładnie ważniejsze szczegóły, jakie w nich napotkał. Dziś spiski takie należą do wielkich rzadkości, ale legend o poszukiwaniach skarbów w Tatrach krąży niemało wśród górali. Wiarę w skarby podsyciły znaleziska przedhistoryczne złotych przedmiotów i pieniędzy zbójnickich. Wiara ta jednakże nie jest właściwa tylko naszym góralom. Istnieje ona w rozmaitych stronach Alp, w Harzu, w górach Smereczanych i Karkonoszach. Pracę kończy spis dni, w które podług spisków, złe duchy odstępują od skarbów, oraz rysunek koła czarodziejskiego do zaklęcia duchów.

Praca ta jest pod każdym względem nadzwyczaj cenną, daje bowiem zupełne i wszechstronne wyjaśnienie jednego z najciekawszych wierzeń góralskich, wyjaśnienie proste, rzeczowe i niezaprzeczone.

Dr. St. Zdziarski.

NOTATKI. *Cenne dokumenty.* Ks. Michał Godlewski profesor akademji duchownej w Petersburgu, pracując w carskiej bibljotece publicznej odnalazł w dziale manuskryptów włoskich i hiszpańskich, na które dotychczas nie zwracano uwagi, cenne dokumenty tyczące się dziejów Polski z XVI, XVII i XVIII w. Wśród odnalezionych dokumentów są rzeczy tak cenne, jak relacje o Polsce nuncjusza Lipomano z r. 1574, djarjusz kardynała Gaetano posła watykańskiego do Zygmunta III. z r. 1598, instrukcja dla nuncjuszów w Polsce z lat 1596, 1612, 1616, 1621 i 1650, wiadomości o zjeździe w Korczynie z roku 1671, wiadomości o legjonach polskich 1798—1799 roku, korespondencja generała Dąbrowskiego (1803 — 1806); poselstwo admirała aragońskiego do Polski w latach 1592—1600 i wiele innych rzeczy.



Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.